



# 1

## WIEKOWY BLASK

30 listopada, terażniejszość,  
miejscowość Stary Brokat

– Zdepcz to ustrojstwo, albo wyrwij.

Christian spojrział na zmizerniałe fiołki, już i tak podeptane przez dzikie zwierzęta, te, które zdołały przetrwać. Załęgły się w ciemnych zakamarkach lasu, to na pewno. Dzikie koty, dzikie psy... wilki? Dla nich to nie był odpowiedni klimat, ale idealny na drzewa i góry, które pokrywały więcej niż połowę terenu tego rejonu – południowy zachód ich kraju. Niedługo w lokalnej strefie wiadomości napisano, że planowana jest masowa wycinka, na pewno wiążąca się z okrutnymi kosztami. Wtedy wytępiliby zmutowane zwierzęta. Wytępiliby też wszystkie nielegalne zgromadzenia, które uważały drzewa za swoje schronienia. Niedobrze, to by znaczyło, że muszą się przenieść gdzie indziej, zapewne szukając opuszczonych budynków, których wbrew pozorom nie było w pobliżu aż tak dużo. Christian wiedział, że zdecydowanie nie powinien się tym teraz martwić.

W Starym Brokacie, mieście, w którym dwudziestoletni chłopak przebywał całe życie i znał od podszewki, miał więcej powodów, by przeciążyć układ nerwowy. Tu żył, tu się urodził

i wychował. Tu obserwował zmiany, które zachodziły w społeczeństwie, z adnotacjami, że wszystko zmieniają na lepsze.

*Zawsze działamy ludziom na duszę.*

Tak mawiał ich prezydent, Goryt Doska, do wysokiej mównicy w Śródmieście, które było jego główną siedzibą. To tam, wraz z wszystkimi członkami swojej rodziny, pojawiał się w srebrnej osłonce na głowie, zasłaniając twarz. W idealnym stroju wszyscy chcą rozszarpać swojego przywódcę, więc prezydent z zasłonką się w to wpasował.

Wciąż było lepiej, nawet jeśli mieli być swoim cieniem z twarzą w radiu czy lokalnej strefie wiadomości, nawet jeśli dzieci nie chciano wypuszczać z domów na trawnik przed kamienicą, a więcej niż połowa społeczności chroniące ich rękawiczki uznała za nieprzemijającą modę. Szczegóły, kto by się nimi przejmował? Rodzice Christiana, pracujący we władzach miasta, czyli po prostu w Ratuszu, jeszcze rok temu wspominali, że ich wykresy pokazują tendencję spadkową. A przynajmniej jeśli chodzi o odbieranie sobie życia czy tracenie zmysłów na środku ulicy. Bo wiesz, mówili do niego, że właśnie tak kiedyś było? To, że komuś brunatna piana leciała z ust czy oczy wywijają się do góry, było normą, a teraz już nie jest.

Dziś na całe szczęście był początek końca Miesiąca Umarłych, 30 listopada. Dożyli Święta Umarłych, zwieńczenia tych kilkunastu dni, w których wspomniano nieobecnych. W listopadzie wszystko wyglądało jak po wyznięciu ducha i akurat wtedy miało do tego pełne prawo. Znane wyjątki od tego standardowego obrazu Christian mógł policzyć na palcach prawej ręki, a jeden z nich stał tuż nad nim.

– Reprezentacyjne Przyjęcie zaczyna się o dwudziestej – przypomniała mu Eleanor, tak niepasująca swoją prezencją do starego

cmentarza, na którym się znajdowali. W butach na małej koturnie była od Christiana o dwa centymetry wyższa, ubrana w długą, spływającą po ciele pelerynkę koloru wyblakłego różowego cukierka z pasującymi do niej koronkowymi rękawiczkami. Mówiła, że po prostu lubi stroje, których na straganie nie wybrałby nikt inny, i to dlatego na tle tego krajobrazu wyglądała komicznie. Elegancko, ale... tanio. Trzymała lekko porwaną parasolkę, tak na wszelki wypadek, bo przecież byli z cukru i najmniejsza kropla deszczu mogła im zaszkodzić.

Christian wyprostował się i ogarnął wzrokiem niewielką dolinę trupów. W oddali słyszeli odgłosy nalewania wody, ale poza tym cmentarz był opustoszały. Być może wszyscy mieszkańcy nachodzili się tu już wystarczająco przez miniony miesiąc, prawie trzydzieści dni świętując mniej lub bardziej estetyczne śmierci. Christian sam bywał bardzo rzadko. Jego ostatnio zmarli członkowie rodziny rozsypani zostali już w miejscu pochówku, czyli kawałek dalej, tam, gdzie kończyły się nagrobki z nawiązaniem do tak zwanego Boga z Nieba Katolików. W miejscu pochówku nie było już pokrzywionych przez starość krzyży, nie było długich nagrobnych płyt skrywających kruche kosteczki. Tylko tablice z krótką informacją, kto tu prawdopodobnie spoczął.

– Mam wszystko, tylko nie mam stroju – wyrzucił z siebie jednym wdechu, mając świadomość, że to może zdenerwować przyjaciółkę, która kilka tygodni temu zaniósła do jego domu stos straganowych szmatek. Zapamiętał tylko czerwony aksamitny kombinezon, w którym zapewne przyjąłby aparycję potomka właściciela domu publicznego. Christian wiedział, że rzekomym celem zabawy na Święto Umarłych było wybranie czegoś innego niż modnych długich płaszczy, narzut i pelerynek, które ich społeczeństwo nosiło (bo wszystko to było szyte z najtańszych materiałów), ale chyba nie aż tak innego.

– Jeśli mam być szczery – dodał cicho, nie słysząc odpowiedzi. Eleanor najwyraźniej spodziewała się czegoś podobnego, więc nawet na niego nie spojrzała. Skupiona była na obiekcie przed sobą.

– Moja mama przychodziła i paliła nad nią papierosy – Kiwnęła głową na nagrobek swojej babci, zmarłej kilka lat wcześniej. Podobno coś niechęć przedawkowała, ale dziewczyna nigdy się tymi faktami głośno nie chwaliła.

## WYBITNA PROFESOR

Napis był na samym środku.

– Powiedziała, że babcia nienawidziła tego zapachu i kradła banknoty z koperty mamy, by nie stać ją było na paczkę.

– Moja mama w co drugą miesięcznicę śmierci cioci robi kopytka. A kogoś jeszcze odwiedzamy?

Eleanor kiwnęła głową i ruszyli kamienistą ścieżką wśród licznych nagrobków mniej lub w ogóle nieznanymi im osób. Powoli wkraczali w strefę należącą do przedstawicieli Nauk Reniezystycznych. Inaczej mówiąc: tych w nic bogo-podobnego niewierzących, ludzi stanowiących znacznie liczniejszą grupę mieszkańców obecnego Starego Brokatu. Tu już nie stały ani kwiaty, ani lampiony. Powoli odeszli od tego zwyczaju, puszczając go w niepamięć. Miejsce pochówku było zbiorowiskiem osamotnionych tabliczek, żeby wiadomo było, gdzie co zostało wrzucone. W ziemi wykopywano naprawdę niewielki otwór, a przyniesione w słoiku pozostałości zmarłego umieszczano tam bez celebracji i zbędnych ceregieli, chyba że ktoś przytargał ze sobą butelkę czystej. Christian pamiętał, że na pogrzebie cioci, kolejnej pracownicy władz miasta, wujek rozlewał zawartość szkła, zanim jeszcze pochówkowy urzędnik zdążył pochwytać łopatkę. Małą, dziecięcą. Mama płakała, gdy pierwszy raz robiła te kopytka. Nie mogła pogodzić się ze wspomnieniem, że prochy żony brata namokły aż tak

tanim spirytusem. Tymczasem dziesięcioletni Christian trząsał się po nocach, przypominając sobie obłąd w oczach tamtej dwójki.

– Tam są tabliczki rodzinne tej psycholki – Eleanor wyrwała go z zamyślenia, wykonując ręką ruch w stronę niewysokiego ogrodzenia.

– Psycholki. Jakiej psycholki? – Nie mógł dostrzec nazwiska.

– Jane Avarell.

Może wcale nie musiał pytać.

Christian nigdy nie poznał Jane Avarell, ale opowieści o niej znał już za dobrze. Była znajomą Eleanor z jej szkoły, oszustką, która najwyraźniej zrobiła coś tak okropnego, że do dziś to imię wypowiedane było głosem przesyconym nienawiścią. Eleanor bez przerwy zarzekała się, że jeśli kiedykolwiek zobaczy tę dziewczynę po raz kolejny, nie będzie się wahała przy rozszarpaniu jej na strzępy. Nie chciała jednak wprost powiedzieć, co takiego się stało, że, w poważaniu Eleanor, Jane na to zło konieczne zasługiwała.

Christian dobrze znał przyjaciółkę, prawie piętnaście lat, a to było niemalże wiecznością, czasem, który nie chciał się skończyć. Zdawał sobie sprawę z tego, że być może nie było żadnego powodu, by owej Jane nienawidzić, zwłaszcza że wciąż go nie usłyszał. Dotychczas przemilczał każdą wzmiankę o niej, w głębi duszy wiedząc, że i tak prędko się nie spotkają, a dziecinne zabawy na zawsze pozostaną zbędne.

– Tabliczki rodzinne psycholki spoczywają niech w ciszy.

Zanim dotarli do końca deptaku, zatrzymali się przy jeszcze jednym miejscu, gdzie tabliczka „Olaf Hershel” podobno świeciła w ciemności. To nie było poparte żadnym logicznym wyjaśnieniem, ale miejskie legendy głosiły, że z niektórymi tak się dzieje.

– David przychodzi go odwiedzać? Kiedykolwiek? – zapytał Christian, po chwili orientując się, że pytania mogły zabrzmieć zbyt pogardliwie.

Eleanor otworzyła usta, ale w ostatniej chwili je zamknęła. Odezwała się dopiero po kilkunastu sekundach ciszy.

– Nie wiem.

Minęły trzy minuty i ostatecznie zmierzali w stronę wyjścia.

Osoba o męskiej sylwetce, w szarej narzucie z kapturem, krążyła w oddali z butelką spreju w ręce; przymierzała się do robienia niechcianych dekoracji. Przeszli obok obsypanej brokatem rzeźby, stojącej przy bramie cmentarza. Przedstawiała któregoś ze starych świętych, wysokiego mężczyznę w szacie do kostek. Pozostałość sprzed kilkadziesiątu lat, której nikt nie chciał zburzyć, rzekomo z szacunku, ale tabliczka z imieniem już dawno zardzewiała i nie mogli przeczytać, kto to był. Ponadto dorysowano mu ciemny ogon na tyle i to wcale nie było tak śmieszne, jak w zamiarze miało.

Deszcz mógł w każdej chwili popsuć cały efekt, ale uparta osoba nadal używała aerozolu, by pryskać na figury, ułożone wzdłuż żywopłotu jak ścieżka do drogi męczeńskiej. Patrząc na to zdarzenie, Christian czuł na plecach niepokojący dreszczyk. Był wychowany tak, by zawsze reagować na najmniejszy wandalizm i zgłaszać, jeśli nie rodzicom, to bezpośrednio strażom, których teraz na złość nigdzie nie było. Eleanor westchnęła i przystanęła, wpatrując w kształt namalowany na murze.

– Ładnie. Będzie co sprzątać.

– Może powinniśmy coś zrobić – dodał szeptem Christian, mając wrażenie, że mężczyzna zauważył ich i nawet zaczyna machać. – A może nie.

– Miłej zabawy na Święto Umarłych! – Usłyszeli niosące się echem słowa. Eleanor tylko przewróciła oczami. Na tamtej rzeźbie mężczyzna też starał się ułożyć ze spreju jedną literkę, wyjątkowo im znaną.

Było to duże, okrągłe Q.

Człowiek musiał być zwolennikiem kultu Q, ich bolesnej normy, która powoli opanowywała Stary Brokat, a może i rejon, ale tego dowiedzieliby się, wystawiając czubek nosa poza rodzinne miasto. Christian za każdym razem zastanawiał się, czy bardziej tej zarazy nienawidzi, czy bardziej się jej obawia. Najgorsza jednak okazywała się świadomość, że to, co się działo w pobliżu, to była w znacznym stopniu jego wina.